



TWARDA LEKCJA

ANDRZEJ SZCZYPIORSKI

Moja edukacja demokratyczna odbywała się w szczególnych warunkach i sytuacji dziejowej. Ponieważ mam dobrą pamięć, więc do dziś zachowałem w sobie tamte doświadczenia.

Jako chłopczyk byłem dzieckiem nadzwyczaj pobożnym, choć w moim domu rodzinnym nie było zbyt wielkich skłonności religijnych. Ojciec miał poglądy socjaldemokratyczne, co w tamtych czasach w Polsce oznaczało także niechęć i nieufność do duchowieństwa. Matka była osobą światową, bardziej ją zajmowały stroje niżeli zbawienie duszy. Ale miałem też ciotki bardzo nabożne i one mnie edukowały, nakłaniając do ministrantury.

Kiedy więc przyszli Niemcy do Warszawy, byłem grzecznym i sumiennym ministrantem, choć niemal nic nie pojmowałem z tajemnic doktrynalnych wiary katolickiej. W ogóle była to wiara dziecinna, powierzchowna i ulotna, o czym miałem się niebawem przekonać boleśnie.

W ostatnich dniach czerwca roku 1941 biegłem o świcie do pobliskiego kościoła Ojców Kapucynów, gdy nagle zatrzymała mnie pewna starsza dama i oznajmiła, że kościół jest zamknięty, na jego stopniach stoją żandarmi niemieccy, bo kilka godzin temu wszyscy zakonnicy zostali aresztowani.

W tym momencie straciłem żarliwą wiarę chłopięcą. Pomyślałem wtedy chyba, że jeśli Bóg dopuścił, aby kapucynów aresztowano a kościół zamknięto - to jest On słabszy od Hitlera, a ja słabego Boga znać nie chcę. Może też pomyślałem, że Go wcale nie ma...

Lecz nie kryzys religijny był pierwszym krokiem edukacji obywatelskiej, bo gdybym dalej wierzył żarliwie, to pewnie też dojrzywałbym do pewnych konkluzji. Skoro wspominał tamto wydarzenie, to tylko dlatego, że miało ono wielki wpływ na mój ówczesny stan ducha. Czułem się zagubiony, oszukany, wyszydzony, osierocony, okłamany i porzucony. Miałem zaledwie trzynaście lat - i już chciałem umrzeć z rozpacz. Ale nie trwało to długo. Przypadek zrządził, że pewna starsza pani, sąsiadka moich rodziców, otworzyła przede mną swoją ogromną bibliotekę beletrystyczną. Ojciec mój był politykiem i uczyonym, w naszym domu były nieco inne książki od tych, z którymi się dzięki owej starszej pani zetknąłem.

Osierocony i opuszczony przez moją utraconą wiarę, szukałem nowych treści i nowych wartości w książkach. Traf zrządził, że czytałem wtedy dzieła wielkiej niemieckiej literatury. Czytałem wtedy - to doskonale pamiętam – "Buddenbrooków Tomasza Manna, czytałem również Mapę Rilkego, czytałem Zweiga, Schillera, Kleista, także wielu innych. Z kart tych książek wyłaniał się przede mną krajobraz niemiecki całkiem inny niżeli ten, który znałem z warszawskich doświadczeń wojny. I nagle okazywało się, że są też inni Niemcy.

Bez poprzedniego kryzysu może odrzuciłbym wtedy treści literatury i dalej trzymał się twardo ówczesnej, jednowymiarowej rzeczywistości. Lecz stało się inaczej. Musiałem przecież wierzyć w coś, co było niejako poza mną, poza dobrze znanym światem warszawskich okropności, w coś, co przychodziło z innego, odległego świata i miało w sobie szlachetny walor duchowości... Dałem się więc wtedy uwieść magii literatury- i tak już w moim życiu zostało do dzisiaj.

Ale ówczesne doświadczenie było przełomowe, bo właśnie dzięki literaturze niemieckiej już jako chłopiec zaczynałem rozumieć, że z Niemcami w Warszawie coś nie jest w porządku, że oni nie są chyba tymi prawdziwymi Niemcami, o których pisze Tomasz Mann, że oni są jakoś sfałszowani, skłamani, spartaczeni przez bieg wypadków historycznych. I to był pierwszy mój krok w kierunku dojrzałego myślenia. Drugi krok ułatwił mi znowu Adolf Hitler, bo 1 września 1944 roku znalazłem się za murami kacetu Sachsenhausen, skąd runie wyzwolili Rosjanie dopiero w ostatnich dniach wojny.

W Sachsenhausen spotkałem Niemców-katów oraz Niemców - towarzyszy niedoli, moich współwięźniów, którzy siedzieli w obozie po ładnych kilka lat, bo byli przeciwnikami Hitlera. W Sachsenhausen poznałem także na własnej skórze katów, którzy mówili po polsku, bo byli Polakami, mówili po francusku, bo byli Francuzami, mówili po czesku, bo byli Czechami.

Cała misterna konstrukcja moich poprzednich wyobrażeń o świecie, który dzielił się na ludzi wedle narodowości, legła w gruzach i już jej nigdy w sobie nie chciałem odbudować, bo kiedy wyszedłem wiosną 1945 roku na tę ówczesną straszną wolność zwłok, zgliszcz, pożarów, wdów, sierot i kalek, to już wiedziałem, że świat dzieli się na ludzi porządných i na ludzi skłonnych do występku, że podstawowym problemem człowieka jest kwestia wyborów jego wolnego, suwerennego sumienia. Tak oto powróciła do mnie od innej strony życia problematyka cnót i grzechów, wartości i nihilizmu. Moje duchowe doświadczenie zatoczyło wielki, bolesny krąg - i znów znalazłem się na progu jakiegoś kościoła.

Nie był to wprawdzie prościutki i naiwny kościół mego dzieciństwa, lecz jednak chrześcijański kościół świętości i tragizmu losu osoby ludzkiej.